BI… LUDOWYCH 12.

ELIZA ORZESZKOWA

A... B... C...

WYDANIE NOWE

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ — POZNAŃ
THE POLISH BOOK IMPORTING CO. INC., NEW YORK

PRINTED IN POLAND

49. **Sienkiewicz H.** Z puszczy Białowieskiej.
50. — Niewola tatarska.
51. — Pójdźmy za Nim!
52. **Łętowski Jul.** Wawrzyńcowie.
53. **Sienkiewicz H.** Za chlebem.
54. — Z pamiętnika nauczyciela poznańskiego.
55. — Sielanka. — Legenda żeglarska.
56. **Siemieński L.** Portret króla Jana. Posłowie siewierscy.
57. — Wieczór u gen. Kopcia. — Wiązanka konwalii.
58. **Sienkiewicz. H.** Orso. — Sachem..
59. **Gomulicki W.** Oracz. — Filemon i Baucis. — Nieprzespany sen pani Maciejowej
60. **Kosiakiewicz W.** Sarna. — Literatura mojej żony. — Nabożeństwo majowe.
61 **Sewer.** Łusia Burlak.
62. — Wiosna.
63. — Dola.
64. **Dygasiński A.** Co się dzieje w gniazdach.
65. **Sieroszewski W.** Kulisi.
66. — W ofierze bogom.
67. — Bokser (Uang-Ming Tse).
68. **Kaczkowski Z.** Bitwa o chorążankę.
69. **Prus B.** Cienie. Z legend dawnego Egiptu. W górach.
70. **Konopnicka M.** Wojciech Zapała.
71. — W Winiarskim forcie.
72. — Urbanowa.
73. — Miłosierdzie gminy.
74. **Lenartowicz T.** Wybór poezyi.
75. **Kondratowicz L.** (Wł. Syrokomla). Wybór poezyi.
76. — Janko Cmentarnik.
77. **Hoffmanowa Klem.** Dziennik Franciszki Krasińskiej.
78. — Listy Elżbiety Rzeczyckiej.
79. **Czerneda M.** (Bierzyński). Niepłakany.
80. — Kancelista.
81. **Kraszewski J. I.** Żywot i przygody imci Pana Józefa z Gozda, Hrabi Gozdzkiego. — Pan Starosta Kaniowski
82. — Jak się dawniej listy pisały.
83. — Psiarek.
84. **Wilczyński Ad.** Przykładna kara.
85. **Chodźko Ign.** Samowar.
86. — Domek mojego dziadka. Śmierć mojego dziadka.
87. — Boruny.
88. **Górski K. M.** Biblioman.
89. **Lenartowicz T.** Zachwycenie.
90. **Korzeniowski J.** Karpaccy górale.
91. **Kondratowicz L.** (Wł. Syrokomla). Ułas.
92. — Kęs chleba.
93. — Jan Dęboróg.
94. — Tręzlowe. — Spowiedź pana Korsaka.
95. — Wielki czwartek.

BIBLJOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH 12.

ELIZA ORZESZKOWA

A... B... C...

WYDANIE NOWE

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ — POZNAŃ
THE POLISH BOOK IMPORTING CO. INC., NEW YORK

DRUKARNIA WŁ. L. ANCZYCA I SP. W KRAKOWIE.

W jednem z większych miast wielkiego państwa Joanna Lipska codziennie przechodziła około gmachu, którego front teraz właśnie rozszerzano i przyozdabiano, najlżejszej uwagi na niego nie zwracając. Wielkiem było państwo i wielkim zbudowany przez nie gmach sądowy; cóż ona z potężnemi wielkościami temi mieć mogła wspólnego? Wiedziała, że w tych obszernych ścianach, porzniętych szeregami jasnych okien, rozstrzygają się losy tych, którzy wiodą majątkowe spory lub popełniają występki i zbrodnie. Majątkowych sporów ona mieć nie mogła, nie mając żadnego wcale majątku; gdyby zaś kiedykolwiek nasunęła się jej myśl, że może być obwinioną o popełnienie zbrodni, wprost parsknęłaby śmiechem. Ale myśl ta nie nasunęła się jej nigdy, i nigdy gmach sądowy nie zwrócił na siebie szczególnej jej uwagi. Była ona tak małą ze swem skromnem nazwiskiem, ze swem zupełnem ubóstwem i ze swą szczupłą dziewiczą kibicią!

Nosiła zawsze czarną wełnianą suknię i czarny kapelusz, ani ozdobny, ani modny, lecz z pod którego widać było gęstwinę ślicznych włosów, tak prawie jasnych, jak len, gładkich i lśniących nad

czołem, w prosty, ciężki warkocz zwiniętych z tyłu głowy. Cerę twarzy miała bladawą i często zmęczoną, różowe usta i szare oczy, które kryształową swą przezroczystością przypominały czasem oczy dziecięce. Młodą była i niewątpliwie ładną, lecz każdy znawca ludzi poznałby w niej odrazu jedno z tych dziewcząt, w każdem mieście licznych, które nie bawią się i nie stroją nigdy, jadają niewiele, oddychają powietrzem wązkich ulic i ciasnych izdebek. Taki sposób życia tamuje rozwój wdzięków i zarazem ukrywa je przed ludźmi. Nie pielęgnowane i nie uwydatniane, kwitną one blado i więdną niepostrzeżone, jak kwiaty, które spłowiały w cieniu; zaćmiewa je i zasłania często łopuch bylejaki, lecz wygodnie i pysznie rozrastający się w blasku słońca. Blada i przywiędła, z ulicznym gminem zmieszana, w swojej wiecznej czarnej sukience, szła Joanna zawsze ulicami miasta śpiesznie, z kibicią trochę naprzód podaną, z czołem trochę pochylonem, a drobne i kształtne jej stopy w grubem obuwiu prędko, prędko stąpały po nierównych kamieniach chodnika. Teraz codziennie zeskakiwać musiała z chodnika i okrążać mularskie rusztowanie, wzniesione u ściany sądowego gmachu. Raz tylko podniosła głowę, popatrzyła na robotników, pracujących u szczytu rusztowania, i pobiegła dalej. Pomiędzy nią a tym gmachem wielkim i napełnionym posępnymi dźwiękami sporów i zbrodni cóż wspólnego być mogło?

Nikt a nikt nie zwrócił był na to uwagi, ale to pewna, że przed niedawnym czasem wyraz jej twarzy bywał bardzo smutny i stroskany, a czarna

suknia oszyta u dołu białą taśmą. Nosiła żałobę po ojcu i ciągle myślała o tem, że powinna koniecznie znaleźć sobie sposób zarabiania na życie, aby nie obciążać sobą ciężkiego życia brata. Była to myśl pozioma i prozaiczna, niemniej rysująca często głęboką zmarszczkę na jej młodziutkiem czole. Cierpiała wtedy i dużo myślała, nie tylko nad sobą, ale czasem nad całym światem i różnemi jego urządzeniami. Czasem także wyglądała tak, jakby wstydziła się czegoś, i wtedy jej oczy zdawały się pokornie przemawiać do ludzi:

— Przebaczcie mi, że istnieję!

Chodziła po świecie z nieustanną myślą:

— Na co ja komukolwiek lub czemukolwiek przydać się mogę?

Często bywała głodną i miewała podarte obuwie, myśląc zaś o kawałku chleba, czy bułki, albo o całych trzewikach, myślała zarazem:

— Wszakże biedny Mieczek sam nie ma zawsze kawałka mięsa, i koszule jego drą się już w kawałki.... A tu jeszcze siedzę mu na karku!

Miała znajome i rówieśnice, które w takiem samem, jak jej, położeniu, żyły sobie zupełnie spokojnie, a niekiedy nawet i wesoło. Zręcznie i chciwie chwytały drobne przyjemności życia, karmiły się niemi, oczekiwały lepszej przyszłości, nie rozglądały się po świecie i nie oglądały się na nikogo, było im dość dobrze.

Ona tak nie mogła. Dlaczego? Może sama natura stworzyła ją nieco inaczej, może naturze dopomogły w tem rozmowy usłyszane, książki przeczytane, widoki tych i owych istnień sąsiednich,

trochę wiedzy, przelanej w jej głowę z ust ojca, który niewiele przed wydaleniem się swem z tego świata wydalony został z posady nauczyciela miejscowej szkoły męskiej. Gdyby był dłużej posadę tę zachował.... A! wcale inaczej działoby się teraz z dwojgiem jego dzieci. Ale zachować jej nie mógł. Dlaczego? Daleka przyszłość zdumiewać się nad tem będzie: był Polakiem. W sile wieku usłyszał, że nie ma prawa pracować tak, jak chciał i umiał, ani pożywać owoców swej pracy. Na miejskim cmentarzu nie otworzy się już mogiła i nie wyjrzy z niej przedwcześnie osiwiała głowa pedagoga, z zaczerwienionemi od pracy oczyma i wielką chmurą zmarszczek, którą na czole jego złożyły nie lata, lecz jedna chwila, ta, w której mu w ścianach szkoły powiedziano: »Idź stąd precz! ponieważ tuś się urodził; miejsce twe zajmie ten, kto ziemi tej ani jej dzieci dotąd nie znał i nie widział«. Pedagog, nieco już pracą sterany, usłuchał odrazu i poszedł precz ze świata.

Dość długo Joanna biła się z różnemi myślami i zamiarami, aż dnia pewnego wbiegła do małej swojej kuchenki widocznie wzruszona. W ręku trzymała kosz z bielizną, którą do maglowania nosiła. Pomimo, iż był dość ciężki, prędko wbiegła po wązkich i stromych wschodkach i z łatwością postawiła go na stole. Szczupła, blada, miała jednak siłę organizacyi nerwowych i czynnych. Postawiwszy kosz na stole, pozostała nieruchomą i zamyśliła się. Stała na podłodze z desek grubych i sterczących czarnemi głowami gwoździ; nad nią zwisał sufit nizki, ciemny od pyłu i dymu; pod czte-

rema ścianami, oklejonemi lichem obiciem, stało parę stołów i ław drewnianych, szafka z kuchennem naczyniem, łóżko, zasłane szczupłą i białą pościelą. Tu sypiała; pokoik przyległy służył za sypialnię i pracownię jej bratu, i było to już całe ich mieszkanie, znajdujące się na tak zwanej »salce«, czyli górnem piąterku domu, który wyglądał zupełnie tak, jakby wzór jego dokonany został przez pięcioletniego architekta za pomocą ustawienia z siedmiu kart dwóch trójkątów u dołu, a jednego w górze. Takie górne trójkąty domków miejskich zawierają w sobie najtańsze mieszkania; dlatego Lipscy zajęli je po śmierci ojca. Na dole znajdował się szynk ze sklepikiem od ulicy; dziedziniec roił się od mieszkańców różnej płci i wieku.

Promień zachodzącego słońca, wnikający przez małe okno, oblewał złotem głowę dziewczyny, a na czarnej jej sukni nielitościwie odkrywał starannie zacerowane rozdarcia. Splecione ręce zwiesiła na suknię, powieki miała spuszczone i na ustach marzący uśmiech. O czem z taką rozkoszą marzyła?

Obudziła się z zamyślenia, podniosła twarz i głośno klasnęła w ręce. Był to gest radości. Z dziecinną też radością poskoczyła z miejsca i uchyliła drzwi sąsiedniego pokoju. Tu jednak palec do ust przyłożyła i samą siebie upomniała:

— Cicho!

Potem cichutko znów samą siebie zapytała:

— Śpi, czy nie śpi?

W pokoju, przybranym w dość liczne, ale staroświeckie i ubogie sprzęty, na twardej kanapce leżał młody mężczyzna średniego wzrostu, uderza-

jącej chudości ciała, z twarzą ściągłą, ładną, ale której białość, niemal papierowa, raziła pozorem niezdrowia, tem przykrzej, że odbijała od czarnego zarostu i okrywających oczy ciemnych okularów. Niegdyś Mieczysław Lipski był dzieckiem zdrowem, choć zawsze trochę powolnem i nieśmiałem, ale trwało to krótko. Miał lat szesnaście i ukończył pięć klas gimnazyalnych, kiedy cera jego nabywać poczęła tej przykrej, papierowej białości, ręce wychudły, ruchy zleniwiały; bolące oczy z porady lekarza okryto mu wtedy, jak starcowi, ciemnemi okularami; odtąd nigdy już ich nie zdejmował. Szkołę porzucił, do rzemiosła był za słaby, zaczął pracować w jednem z biur rządowych. Karyera jego była złamaną na zawsze. Dlaczego? Nikt sobie o tem dokładnej sprawy zdać nie mógł. Poprostu uległ był naciskowi czegoś niewidzialnego, ale przecie istniejącego — gdzie? w szkole? w domu, osmuconym dymisyą ojca? czy w sposobie życia ubogiej rodziny? czy w moralnem powietrzu, którem oddychało to miasto? Możnaby dociec, lecz trudno dociekać. Bywają czasy tak okrutne, że oddechem swym zabijają nawet dzieci.

— Czy śpisz, Mieczku? Mieczku, czy śpisz?

Nie spał już, usłyszał ciche zapytanie siostry i, jeszcze niewyspany po ciężkiej pracy biedny kancelista izby skarbowej, leniwie wyciągając się na kanapce, wydobył z gardła wzajemne, gapiowato brzmiące pytanie:

— Ha?

Potem, podniósłszy się nieco, oba ramiona w całej ich długości w górę wyprężył i głośno po-

ziewając, dopóty usta szeroko otwierał, póki mu ich nie zamknął prawdziwy grad pocałunków. — Śmiejąc się głośno i mocno całując brata w usta, policzki, czoło, Joanna wołała:

— Mam już, Mieczku, mam! czego chciałam! znalazłam!

Obojętnie, ale bardzo łagodnie uwolnił się z jej objęcia i nosowym trochę głosem zapytał:

— No, cóż tam takiego? Co znalazłaś? pieniądze, czy co?

Poważniejąc nagle, odpowiedziała:

— Zajęcie.

Kancelista wyprostował się całkiem, zdjął okulary, wytarł je chustką, włożył napowrót i, zza ciemnych szkieł zaczerwienionemi mrugającemi oczyma patrząc na siostrę, zapytał:

— Jakie? a pieniądze czy z tego będą?

Joanna stała o kilka kroków przed nim i opowiadała mu po raz pierwszy wszystkie swe troski i zmartwienia, któremi dotąd daremnie zasmucać go nie chciała. Niedawno powzięła już była zamiar wyjechania gdziekolwiek na początkową nauczycielkę, bonę, zarządzającą wiejskim jakim domem... gdziekolwiek i na cokolwiek, byleby już raz coś z sobą zrobić, coś rozpocząć.... Ale wahała się. — Sama nie wiedziała dobrze, do czego zdatną być może. To, co umie, umie dobrze, sam ojciec przecież ją uczył... ale niewiele.... Przytem tak jej było żal rozstawać się z bratem! Dwoje ich tylko na świecie, a on często niezdrów bywa i jej starań potrzebuje....

Tu, w szarych oczach opowiadającej zakrę-

ciły się łzy, lecz wnet zniknęły. Dziś spotkało ją wielkie szczęście. Rożnowska, właścicielka magla, kobieta dostatnia i położenie jej znająca, zapytała jej, czyby nie chciała uczyć jej wnuczek, dwóch niewielkich dziewczynek, bardzo mądrej nauczycielki jeszcze nie potrzebujących. Naturalnie, propozycyę tę z wdzięcznością przyjęła. Małe Rożnowskie przychodzić do niej będą na lekcye, bo tam, przy turkocie i zawierusze magla, uczyć się nie sposób. Ale to tylko początek. Rożnowska przyrzekła, że zarekomenduje ją jakiejś swojej znajomej, która na tej samej ulicy ma dwa domy i chłopca, którego chce do szkoły przygotować. Chłopiec ten przyjaźni się z wnuczkami Rożnowskiej i razem z niemi na lekcye przychodzić będzie. Ale i to tylko początek. Byle zacząć! Ten duży Kostuś naprzykład, syn tego ślusarza, który wiecznie pije, a którego matka zabija się praniem bielizny, już ma dwanaście lat, a czytać jeszcze nie umie i często za ojcem do szynku wsuwać się zaczyna. Matka nad tym chłopcem ręce łamie i, gdyby go ktokolwiek chciał uczyć i od złego odwodzić, choć uboga, wynagrodziłaby to wedle możności.... Jest jeszcze w perspektywie dziewczynka tego mularza, który im w tym roku piec naprawił i córkę z sobą czasem przyprowadzał, i malutka Mańka, córeczka stróża, której też wkrótce pora będzie uczyć się czegokolwiek. Dzieci te zna już ona dobrze. Dużego Kostusia nieraz do swej kuchenki przyprowadzała i rozczochraną jego głowę zanurzała w wodzie i szorowała mydłem, poprostu piorąc tego chłopca, tak, jak matka pierze bieliznę. Ten śmie-

szny Kostuś, taki duży, barczysty, z wielką głową, chodzi zawsze zgarbiony, a stąpa tak ciężko, aż drży podłoga; łobuz też z niego, ulicznik, wódkę już lubi a jednakże dla niej łagodny, jak baranek, daje się myć, czesać, napominać.... Pewna jest, że można będzie tego chłopca od ulicy i szynku wyratować; co się zaś tyczy tej malutkiej Mańki, to oddawna już przepadają obie za sobą....

— Ty zresztą wiesz, Mieczku, że ja wogóle za dziećmi przepadam.... Nie wiem, dlaczego, ale tak jest.... Może to po ojcu.... Ot! myślałam i wymyśliłam. Rożnowska mi pomogła.... Ale to tylko początek. Ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka, a później... później....

Wszystko to mówiła z coraz większym zapałem; w ciemnawym pokoju, z oknem od północy, żaden promień słońca nie padał na nią, a jednak po czole jej mknęły widoczne blaski i rumieńcem wezbranego życia oblewały się na policzki.

Mieczysław siedział sztywnie, zza okularów swych wpatrując się w nią nieruchomo. Nieruchome też były rysy mizernej jego twarzy, trudno byłoby odgadnąć, czy to, co mówiła, sprawia na nim jakiekolwiek wrażenie, czy też żadnego wcale nie sprawia. Tyle tylko, że oczu nie spuszczał z ożywionej jej twarzy i że chude palce długich jego rąk, które wsparł o kolana, coraz żwawiej bębniły po wytartem suknie ubrania. Gdy Joanna mówić przestała, przewlekłym swym nosowym głosem powtórzył za nią:

— Później!... później!...

A potem, szczególnym ruchem, zakłopotanie

czy żartobliwość oznaczającym, wsuwając szyję w krochmalony kołnierz koszuli, nie bez wahania zapytał:

— No?... cóż?... takie dalekie projekty układasz... a za mąż wyjść nie myślisz?

Wzruszyła ramionami.

— Wątpię, aby to kiedykolwiek stać się mogło. Wiesz o tem. że nikogo prawie nie znamy, nigdzie nie bywamy... jakżeby więc? jakim sposobem? Zresztą może... ale spuszczać się na to nie mogę....

Z szyją wciąż w kołnierz wsuniętą i podniesioną nieco głową, brat wpatrywał się w nią, jak i wprzódy, tylko po wązkich wargach, czarnym wąsem ocienionych, przewijało się coś nakształt żartobliwego uśmiechu.

— No... — zaczął znów — a ten doktór?

Tym razem Joanna zarumieniła się i ze zdziwieniem na brata spojrzała. Jakto! więc odgadł w niej to, o czem nigdy przed nikim ani jednego słowa nie przemówiły jej usta! On, tak obojętny i senny, musiał jednak pilnie na nią spoglądać, kiedy mógł, nie wiedzieć z czego, z oczu jej chyba, z gry rysów odgadnąć.... Zresztą nic było tu o czem mówić. Nie było tu wcale ani romansu żadnego, ani nawet jego przypuszczenia. Ot, tak jakoś, serce uderzyło żywiej. Musiało przecież żywiej uderzyć, młodem będąc, ale zresztą milczało, bo nie było w niem nadziei.

Rumieniec zgasł na twarzy Joanny, oczy jej i usta przybrały wyraz szczególnej powagi. Po

chwili milczenia ciszej, niż przed tem mówiła, odrzekła:

— Mój Mieczku! ty wiesz dobrze, że byłoby to dla mnie marzenie zbyt wysokie.... Doktór Adam był dla nas bardzo dobrym w czasie tak długiej choroby ojca... i powiem ci szczerze. że wydaje mi się on ideałem człowieka. Ale właśnie dlatego, że tak jest, wiem, iż nic myśli o mnie i nic pomyśli nigdy....

Pochyliła głowę i dokończyła cicho:

— Tylko widzisz... miasto nasze takie ciasne... ludzie tu wszystko jedni o drugich wiedzą i czasem spotykać się z sobą muszą... więc chcę, aby on wiedział... że ja... wiem dobrze, iż między nami nic nigdy nie będzie, ale chcę... aby wiedział, że zasługuję przynajmniej na jego szacunek....

Podniosła twarz i przez szybę okna patrzyła w górę, wysoko, jakby w niedoścignionej oddali widziała jakąś tęczę idealną, która zawisła nad szarem jej życiem. Mieczysław wydobył szyję z krochmalonego kołnierza i spuścił głowę. Palce jego bębniły wciąż po kościstych kolanach, usta nieco się rozwarły. Trudno byłoby powiedzieć, czy smutnym czuł się, znudzonym, albo jeszcze sennym. Nagle zapytał:

— No, a ileż ci płacić będą?

Joannę zapytanie to obudziło natychmiast z zamyślenia, czy marzenia. Wesoło znów powiedziała bratu, że zarobek jej będzie niewielki, jednak w ich wspólnem życiu zaważy wiele. Zresztą to tylko początek... ziarnko do ziarnka — zbierze się miarka, i później, później....

Mieczysław wstał. Sztywnie postąpił kilka kroków, chude ramiona w wytartych rękawach zaokrąglił dokoła kibici siostry i mocno ją kilka razy w czoło pocałował. Ona skoczyła mu na szyję.

Tego wieczoru przy zapadającym zmierzchu, z dołu, z pod podłogi, wzbijać się ku niej zaczęły niesforne gwary, stukania, krzyki. Była to chwila, w której, gdy światło dnia usypiało, budził się i życie swe rozpoczynał szynk. Jakby odgłosy tego nocnego, podziemnego życia z miejsca ją poderwały, Joanna zerwała się z ławki i szybko zbiegła na dziedziniec. Biegła ku mieszkaniu ślusarza pijaka i żony jego praczki. Po drodze sukni jej uczepiła się dziewczynka malutka, bosa, rumiana i z kaczymi ruchami, obok niej biegnąc, razem z nią zniknęła za drzwiami ciemnej sionki. Gdy po upływie dość długiego czasu wyszły obie na dziedziniec, za niemi ukazał się ślusarz, człowiek barczysty, z twarzą obrzękłą od pijaństwa, załzawionemi oczami i rozczochraną czupryną nad wązkiem czołem. Z ubrania i całej postaci jego wiał nieporządek przyzwyczajeń, nie był jednak dnia tego pijanym, tylko czegoś uradowanym i rozrzewnionym. Za progiem swego mieszkania pochylił się i, schwyciwszy rękę Joanny, z całej siły ją pocałował. Jednocześnie duży Kostuś, barczysty, cały w grube płótno odziany, bosemi stopami ciężko o kamienie uderzając, z dzbankiem, pełnym wody, pobiegł na schodki, prowadzące do mieszkania Lipskich. Od dość dawna już oddawał on czasem Joannie różne drobne gospodarskie przysługi.

Rzecz dziwna! Dwunastoletnie to dziecko miało już czoło zmarszczone i patrzyło na ludzi z pod brwi, nieufnie, czasem przebiegle i ze złością. — Matka, zapracowana i wiecznie zgryziona, często łajała go i nawet biła; ojciec, który przepadał za nim, przynosił mu z szynku niedopałki cygar i obwarzanki, cuchnące wódką; zdrojem zabawy, rozkoszy i poznania życia, był mu — szynk. Jednak od niedawna to stare, dziecinne serce po raz pierwszy może rozkwitło uczuciem innem, niż uczucie krzywdy, bojaźni, bosych nóg i karczemnych wrażeń. Nigdy w życiu nie widział tak ślicznej panienki, jaką w oczach jego była Joanna, i nie słyszał ani tak łagodnego głosu, ani tak ciekawych powiastek, jak te, które opowiadała mu ona, ilekroć gotowała obiad lub naprawiała bieliznę, a on dopomagał jej, w czem mógł, albo przy ścianie kuchenki siedział na ziemi, obejmując ramionami podniesione kolana i patrząc na nią, już nie z pod brwi i dziko, lecz śmiałym, roztropnym wzrokiem. Odkąd mu powiedziała, aby był dobrym dla malutkiej Mańki, nie bił jej nigdy, nie szczypał i nie straszył, bardzo często widzieć ich można było, trzymających się za ręce i z powagą przechadzających się po dziedzińcu. Często też wstępowali w ten sposób na schodki i wchodzili do kuchenki Lipskich.

W kuchence bywało potem codziennie bardzo gwarno. Zza cienkiej ściany górnego pięterka domku wychodziły na zewnątrz cieniuchne głosy dziecięce, bąkające:

— A... b... c... a... b... c....

Inne, starsze nieco, prawiły:

— Pszczoła, acz mała, pożytecznym jest owadem. Ma cztery skrzydełka, sześć nóżek, dwa rożki i żądło....

Albo:

— Pięć razy sześć — trzydzieści... cztery od dziesięciu — sześć i t. d.

Duży Kostuś okazał się szczególnym wielbicielem kaligrafii. Nic mu się tak bardzo nie podobało, jak wodzenie piórem po papierze, to słabiej, to mocniej, i, gdy tylko zaczął już pisać litery, formalnie lubował się swemi arcydziełami. Joanna sama ułożyła dla niego kaligraficzne wzory. Miała w tem swój cel. Chłopiec, zakreśliwszy całą stronę, brał papier w obie ręce, szerokie plecy w płóciennym spencerze garbił nad stołem i głośno, z tryumfem, z prawdziwą rozkoszą odczytywał swoje pisanie:

— Nie czyń drugiemu, co tobie niemiło.... Choć ubogo, ale chędogo.... Pieczone gołąbki nie wpadają do gąbki....

W porze owej Joanna nigdy już nie bywała smutną. Wyglądała raźniej, zdrowiej i pogodniej. Okwitła. Zdobycze jej były bardzo małe, ale wiadomo, że pojęcie wielkości i małości jest na tym świecie niezmiernie względne. Dla niej drobiazgi te były prawie zbawieniem. Od jednych otrzymywała małe kwoty pieniężne, inni wynagradzali ją inaczej, jak mogli. Praczka bezpłatnie prała ich bieliznę; mularz, posiadający obszerny ogród, przynosił warzywa i owoce; stróż domu darmo drzewo na opał rąbał. Jakże zdziwiła się, gdy spostrzegła,

że nawet pijak ślusarz płacić jej pragnął monetą, innej wprawdzie natury, ale która niemniej posiadała dla niej cenę wysoką. Ilekroć, wracając z miasta, wchodziła na dziedziniec, człowiek ten nie wiedzieć skąd zjawiał się także. Czy, ujrzawszy ją przez okno, wypadał z szynku lub wysuwał się zza węgła domu, u którego próżniaczo godzinami przesiadywał, lub w lepszych dniach swoich przerywał ślusarską robotę i wychodził ze swego mieszkania, dość, że zawsze, z zegarkową regularnością, gęsta czupryna i nizkie, ciemne czoło pochylały się przed nią, a żółte obrzękłe wargi wyciskały na jej ręku głośny pocałunek. Był to w gruncie rzeczy obrzydliwy pocałunek pijaka, którego ślady, bezwiednie prawie i co najprędzej ocierała z ręki, który jednak brylantem wpadał do jej serca. Jak brylanty, radością świeciły jej oczy, gdy przyniosła i pokazała bratu pół tuzina śnieżnych nowych koszul, któremi zastąpiła tamte... drące się w kawałki. Tego dnia także do czarnego zawsze swego kapelusza przypięła gałązkę sztucznych kwiatów.... Teraz na ludzi patrzyła śmiało i spokojnie; ale był w mieście jeden szczególnie człowiek, z którego spojrzeniem, ilekroć spostrzegła go, spotkać się pragnęła, chociaż usiłowała o tem nie myśleć.

Był on dla jej ojca bardzo dobrym w czasie długiej jego choroby, widywała go wtedy często, słuchała rozmów, które z uczonym pedagogiem prowadził — potem przybył na pogrzeb i, gdy chwiejąca się szła za trumną, rękę jej oparł na swojem ramieniu. I nic więcej pomiędzy nimi nie było, ale

ona o tem nigdy nie zapomniała. Teraz widywała go tylko na ulicy, zdaleka, gdy zgrabnym jednokonnym powozikiem objeżdżał domy swoich pacyentów. Ilekroć spostrzegł ją, kłaniał się grzecznie. Nic więcej. Jednak w jej sercu struna jakaś uparła się drżeć przy każdem jego spotkaniu i śpiewać jej o nim w godzinach ciszy. Powiedziała sobie: Niepodobna! Ale nikt już więcej nie sprawiał na nią najlżejszego wrażenia, a czasem, w noce księżycowe, po dniu pracy, spoczywając, lecz jeszcze nie śpiąc, przez szyby małego okna patrzyła w górę, wysoko... To wielkie szczęście, o którego zdobyciu ani marzyła, wydawało jej się wtedy tęczą idealną, w niedoścignionej oddali zawieszoną nad szarą ziemią...

Czasem też wyobrażała sobie, że jest drobnym robaczkiem, uwijającym się, o ile tylko sił starczyło, u podstaw wyniosłej, aż niebotycznej budowy. *U podstaw*, wyraz ten gdzieś słyszała, czytała. Otóż była tam teraz. Wyżej promiennie było i świetnie. Ludzie tam dźwigali i kuli marmury drogocenne, ściągali z nieba promienie słońca, szukali klejnotów, świat i siebie stroili w blaski. Ona, razem z mnóstwem podobnych sobie maluczkich istot, zbierała w cieniu drobne pyłki, ale tak zupełnie poprzestawała na tem, że przed jej wyobraźnią przyszłość stawała pogodna, pełna, i nawet z owej górnej tęczy na zawsze niemego uczucia nie spadała na wargi jej żadna kropla goryczy, tylko spływało czasem trochę tęsknoty i smutku...

Często, w późne wieczory, bezecne pieśni, ohydne śmiechy, niesforne tupoty i stuki szynkowe,

z dołu, z pod podłogi, buchały w ciemną lub oświetloną księżycem kuchenkę. Dziki ten hałas unosił się wtedy nad białą pościelą, nad myślami, marzeniami i dziecięco czystym, cichym snem Joanny.

* * *

Chociaż uczyła dość znaczną liczbę drobnych dzieci, nie przestała przecież zajmować się pilnie małem gospodarstwem swojem i brata. Dlatego codziennie, raz albo i dwa razy na dzień, po prowizyę i różne sprawunki wychodziła do miasta. W tych wycieczkach najczęściej mijać musiała zblizka wielki gmach sądowy, ale nigdy najmniejszej na niego nie zwracała uwagi. Był on tak wielki, a ona była tak mała! Rozległe wnętrze jego napełniały odgłosy sporów i zbrodni, cóż więc mogła ona mieć z nim wspólnego? Jednak — jakim sposobem to się stało, trudno dociekać — pewnego dnia weszła do jednej z sal tego gmachu i wskazano jej zaraz miejsce, które miała zająć. Była niem ława oskarżonych. Nigdy potem nie potrafiła zdać sobie sprawy, jakim sposobem przebyła tłum i doszła do tego miejsca. Zdawało się jej wtedy, że wszystka krew zbiegła do jej głowy, kipiała tam, szumiała, jęczała, paliła w policzki i czoło, jak rozpalone żelazo. W oczach jej: ludzie, ściany, sprzęty mgliły się i mąciły tak, że dokoła siebie widziała tylko jakąś pstrą, migotliwą masę. Gdy rozpoznała nakoniec, że masa ta miała kilkaset ludzkich oczu, które wszystkie z wytężoną cieka-

wością spoglądały na nią, doświadczyła takiego uczucia, jakby odartą ze wszelkiej odzieży postawiono ją nagle pośród miejskiego rynku. Zapragnęła gwałtownie zerwać się i uciec, ale w zmąconej do głębi swej istocie miała mętne uczucie, że było to niepodobieństwem. Ci, którzy w tej chwili patrzyli na nią, widzieli szczupłą, delikatną dziewczynę w skromnem ubraniu, drżącą, przelękłą, aż po pasma jasnych włosów płomiennie zarumienioną.

Była to największa z sal wielkiego gmachu. Kościelna prawie wysokość nadawała jej pozór imponujący; uroczyste wrażenie sprawiały kobierce i okrycia długiego stołu, za którym zasiedli sędziowie. Tłum ludzi różnych stanów napełniał szeregi ław, ustawionych przy wnijściu. W poprzecznych ścianach wysoko umieszczone cztery ogromne okna rzucały jednolite, białe, nużące światło na wysokie, białe, jednolite ściany, na poważne postawy sędziów, na zalegający połowę sali pstry, ruchliwy, głuchemi rozmowami szumiący tłum. Tu i owdzie jaskrawy kwiat zakołysał się na kobiecej głowie, zadzwonił i echem odbił się w górze głośniej wymówiony wyraz. Woźny sądowy wymówił kilka dobitnych słów i zrobiła się wielka cisza, wśród której dał się słyszeć głos przewodniczącego sądowi.

— Sprawa Joanny Lipskiej, obwinionej o utrzymywanie szkoły bez pozwolenia władz....

Słowa te powróciły Joannie przytomność. Powstała i na kilka zapytań przewodniczącego odpowiedziała cicho, lecz wyraźnie. Potem usiadła znów.

Ogniste rumieńce zniknęły z jej twarzy, ukazując zwykłą jej bladość. Zarazem widać było, że ogarnia ją zamyślenie tak natarczywe i nieodparte, iż odrywało wzrok jej i słuch od rozgrywającej się przed nią, a tak zblizka obchodzącej ją sceny. W szeroko otwartych jej oczach odmalowało się zdziwienie. Wzniosła je w górę, ku ozdobnym gzemsom przeciwległej ściany; czasem głową czyniła ruchy takie, jakby we wnętrzu swem usiłowała coś nadzwyczaj dziwnego zrozumieć i — za nic nie mogła. Trudno było powiedzieć napewno, czy zwracała jakąkolwiek uwagę na zeznania świadków. A jednak były one głośne i trwały długo. Otyła i siwa Rożnowska w staroświeckiej mantyli i z płaskim czerwonym kwiatem na kapeluszu, chustką ocierając spoconą, wielką, dobroduszną twarz, po kilkakroć powtarzała wyznanie, że ona to głównie wszystkiemu jest winna. Sumienie jej inaczej mówić nie pozwala. Przysięgła, że powie prawdę, i prawdę mówi. Ona to pierwsza namówiła do tego Lipską. Dziewczyna jest ubogą sierotą, potrzebowała zarobku, ona zaś ma wnuczki. Gdyby wiedziała, że jest w tem co złego, pewnoby nie namawiała, ale na Chrystusa przysięga, że ani jej przez głowę nie przeszło, że do złego namawia. Siwe ma włosy, ale życie przeszło jej w tem mieście, i niech wszyscy zaświadczą, czy kogo kiedykolwiek do jakiej nieuczciwości namówiła. Zachłysnęła się płaczem, jeszcze raz powtarzać zaczęła, że namawiała... nawet prosiła... ale dano jej znak, aby umilkła już, i usiadła.

Przyjaciółka właścicielki magla, posiadaczka

dwóch domków, malutka, sucha kobiecina, błyszcząca w tem zgromadzeniu kaszmirową suknią i eleganckiemi manierami, przyciszonym głosem, ale z przymilającym się uśmiechem oświadczyła, że książki, które, jako *corpus delicti*, leżały przed sądem, istotnie kupiła i darowała Lipskiej, która jej syna do klasy trzeciej przygotowała tak dobrze, że teraz, gdyby nie był jeszcze zbyt małym, przyjętoby go może i do czwartej. Bardzo sumiennie uczyła, bardzo sumiennie... tak sumiennie, że uczuła się ona w obowiązku zapłatę jej podwyższyć. Gdyby była wiedziała, że w tem jest co złego, byłaby pewno tego nie uczyniła, ale słowo honoru daje, że nie wiedziała. Cóż? Kto ma dziecko, ten o edukacyę jego dbać musi, a tu pod bokiem guwernantka uczciwa, sumienna i tańsza od innych, bo biedna sierota.... Tu wykonała przed sądem dyg elegancki, poczem, milutko zawsze uśmiechnięta, lecz z drgającemi trochę ustami i powiekami, obok Rożnowskiej usiadła.

Od zapytywanej z kolei praczki, żony pijaka ślusarza, najmniej dowiedzieć się było można, bo ta kobieta, wysoka i chuda, z twarzą wszerz i wzdłuż zoraną bólem i troskami, w grubej krótkiej spódnicy i wielkiej chustce, zarzuconej na głowę, tak była strwożona i rozżalona, że prócz kilku niewyraźnych, zaledwie dosłyszanych słów, nic wymówić nie mogła. Ramiona jej drżały pod wielką chustką, z oczu, wypieczonych parą wrzątku i spieką żelazek, łzy, jak groch, padały na grube, poparzone, u piersi splecione ręce. Z całej jej mowy dosłyszeć można było tylko wyrazy: syn dwunastoletni,

ojciec pijak, szynk w tym samym domu, nauka dobra panienka.... Odprawiono ją prędko, a miejsce jej zastąpił mularz.

Ten mówił za siebie i poprzedniczkę swoją, dużo, prędko i tak głośno, że kilka razy zalecano mu, aby głos zniżył, czemu natychmiast był posłusznym, ale ręką żylastą i silną, targając mosiężny łańcuch zegarka, albo na głowie burząc gęstwinę twardych włosów, wnet znowu w ferwor wpadał i głośniej, niż wypadało, dowodził, że, gdy za uczenie swojej córki płacił pannie kartoflami i warzywem, to widać bardzo szło mu o to, aby córka cokolwiek umiała. Zaś posyłać ją na pensyę — za drogo mu było. Więc cóż miał robić? i cóż on takiego zrobił? albo ta panienka: co ona takiego zrobiła?... Po zadaniu tego pytania rozstawił ręce z takim gestem i tak wytrzeszczył oczy, jakby tuż przed jego wzrokiem cały świat przewracał się do góry nogami, a on za nic zrozumieć nie mógł, dlaczego tak z nim się dzieje?

Po tym mularzu zeznawali i świadczyli jeszcze: piekarz, stróż domu, jakiś dorożkarz i jakaś wdowa po urzędniku, nakoniec i najdłużej ten, kto dokonał odkrycia, że na górnem pięterku domu, którego dolne piętro zajmował szynk, gromadka drobnych dzieci dowiadywała się o tem, że pszczoła ma cztery skrzydełka, sześć nóżek, dwa różki i żądło, że cztery od dziesięciu sześć, że nie trzeba czynić drugiemu tego, co nam niemiło i t. d., a dowiadywała się tego, o zgrozo! w języku ojczystym!...

W chwilowej ciszy, która zapanowała, gdy

umilkł głos ostatniego z zeznających, wzrok Joanny powoli spłynął z góry ku tłumowi, napełniającemu połowę sali. Wszyscy siedzieli na ławach, pilnie i w milczeniu śledząc bieg sprawy. Nad pstrą i nieruchomą w tej chwili masą wzbijał się jeden człowiek, który nie siedział, ale stał. Ażeby módz lepiej wszystko widzieć, stał on za wszystkiemi ławami, na jakiemś małem podniesieniu, tak plecami do ściany przyciśnięty, jakby mu one do niej przyrosły. Oczy Joanny przyrosły do jego twarzy i napełniły się wyrazem przerażenia.

Był to jej brat, ale jakże inaczej wyglądał, niż zwykle! Suche ramiona w wytartych rękawach skrzyżował i mocno do piersi przyciskał; na papierowo białe jego policzki wystąpiły czerwone plamy i wzbijały się aż pod brzegi ciemnych okularów. Oddychał prędko i usta miał nieco rozwarte. Z wytężoną uwagą słuchał krótkiego, lecz energicznego oskarżenia, które wygłosił prokurator, i splątanej jakoś obrony adwokata. Potem przewodniczący sądowi zwrócił się do Joanny, oznajmiając, że ma prawo wyrzec w tych rozprawach ostatnie słowo, i zapytując, coby na swoją obronę powiedzieć mogła i chciała?

Nad wysoką, ciężką poręczą ławy oskarżonych podniosła się szczupła, jasnowłosa, czarno ubrana dziewczyna. Powieki miała spuszczone, postawę spokojną i głos trochę drżący.

— Uczyłam dzieci, myślałam, że czynię dobrze....

Tu na mgnienie oka w twarzy jej zaszła uderzająca zmiana. Jakby zawrzały w niej gwałtowne

jakieś uczucia, podniosła czoło, oczy jej błysnęły, usta drgnęły i, poprawiając ostatnie swe zdanie, głośno, wyraźnie rzekła:

— I teraz myślę, że dobrze czyniłam.

Bezwarunkowo była winną. Rzecz dziwna jednak, dlaczego przewodniczący nie powstał zaraz dla udania się z towarzyszami do komnaty narad i przez kilka minut siedział z podniesioną trochę głową i, jak w tęczę, wpatrywał się w obwinioną — z jakim wyrazem oczu? tego, z powodu oddalenia, nikt z tłumu dostrzedz nie mógł. Patrzyli też na nią i jego towarzysze, z których jednemu brwi zsunęły się mocno. Trwało to bardzo krótko, minutę, poczem wstali i odeszli. Nie wracali długo. Sprawa była prosta i jasna. Dlaczego narada trwała tak długo?

Tubalnym głosem woźny oznajmił, że sąd do sali posiedzeń powraca.

Ze szmerem szumiących drzew wszyscy powstali. Za stołem, zasłanym suknem, przewodniczący stanął pospołu z towarzyszami swymi i zaczął czytać wyrok. Zauważono, że czytał nieco cichszym głosem, niż ten, w którym wprzódy przemawiał. Joanna Lipska skazana została na dwieście rubli kary pieniężnej, a w razie niewypłacalności, na trzy miesiące więzienia.

Posiedzenie sądowe zamknięte; publiczność odpływa z sali. Tu i owdzie prawnicy pomiędzy sobą szepczą, że dziewczyna ta jest szczęśliwa, bo małym jeszcze kosztem przestępstwo swe okupi....

Jednak małość i wielkość są pojęciami nadzwyczaj względnemi. Tak zapewne myślał Mieczy-

sław Lipski, który po usłyszeniu wyroku najlżejszego poruszenia nie uczynił i stał przy ścianie, jak wprzódy, skrzyżowane ramiona do piersi przyciskając. Urzędnik jakiś, w kołnierzu zrzadka haftowanym złotem, przechodził tamtędy i, spostrzegłszy go, zatrzymał się przed nim. Znał go widać i z życzliwym uśmiechem zaczął:

— No, cóż, Mieczysławie Antonowiczu! Dobrze skończyło się wszystko! Ale jakże będzie? Sztraf, czy więzienie? Jutro rano przyjdę do was. Ale zapłaćcie lepiej.... Dwieście rubli rzecz niewielka, a panienki szkoda....

I pobiegł dalej. W tejże chwili Mieczysław oderwał się od ściany i skoczył ku wyjściu. Kilku biurowych kolegów chciało go przytrzymać i mówić coś, może doradzać.... Ale jego oczy były tak rozpalone, że zza ciemnych okularów widać było ich błyski, a ostre łokcie rozpychały wszystkich i wszystko dokoła. Tak wypadł do długiej galeryi, z rzędem ogromnych, jasnych okien, którą przepływała publiczność, zwolna znikając w dole, na wschodach. Tu obejrzał się i we framudze jednego z okien spostrzegł Joannę, która tam stała, może czekając na niego, może nie mając siły, czy odwagi, torować sobie drogi wśród tłumu. W tej chwili wiodła ona wzrokiem za grupą osób, znajdujących się już u przeciwnego końca galeryi. Były to dwie kobiety i jeden mężczyzna, powszechnie w tem mieście znany, przystojny, wzięty, przez panie szczególnie ulubiony doktór Adam. Jak mnóstwo ludzi innych, przybył on tu dziś dla wysłuchania ciekawej sprawy sądowej, i łatwo było

spostrzedz, że wychodził pod wpływem poważnych i smutnych wzruszeń. Przecież, gdy jedna z jego towarzyszek, wysoka i strojnie ubrana panna, z uśmiechem przemówiła do niego, uśmiechnął się także i w początku wschodów pośpieszył podać jej ramię. Joanna uczuła w tej chwili, że ktoś ją chwyta za rękę, i zobaczyła Mieczysława, który, schylony nad nią, prędko i cicho mówić zaczął:

— Idź sama do domu. Ja teraz z tobą iść nie mogę. Mam w mieście pilne interesa. Za kilka godzin wrócę. Idź sama do domu.

Wpatrywał się w nią rozognionemi wciąż oczami i, mocno ściskając jej rękę, dodał:

— Nie lękaj się... nie lękaj się tylko... nie lękaj!

* *
*

W kilka godzin potem Mieczysław Lipski znużonym krokiem wstępował na wschody swego mieszkania, powoli przeszedł kuchenkę i w przyległym pokoju, z głośnem stęknięciem, usiadł na twardej staroświeckiej kanapie. Był widocznie znużonym, twarz jego wróciła do swej papierowej białości; gestem zamyślenia przesuwał długą, białą ręką po zmarszczonem czole. Nie zdziwiło go to wcale, że Joanny w kuchence nie zobaczył. Zeszła może na dziedziniec, albo może zabrała ją na ten dzień do siebie poczciwa Rożnowska.

Jednak Joanna znajdowała się w kuchence, tylko siedziała w ciemnym jej kątku, ukryta za wysoką poręczą łóżka. Widząc wchodzącego brata,

nie zerwała się zaraz, jak to bywało zwykle, aby przywitać go i zapytać, czy czego nie potrzebuje? Nie mogła może odrazu wyrwać się z zamyślenia, albo miała do niego trochę żalu za to, że tak nieprędko wracał. Po kilku jednak minutach wstała i cicho weszła do przyległego pokoju.

— Jesteś więc! gdzieżeś była?... — zapytał Mieczysław.

— Byłam w domu, tylko mnie nie spostrzegłeś. Rożnowska przysyłała, prosząc, abym do niej na resztę dnia przyszła, ale nie chciałam.... Myślałam, że zaraz przyjdziesz... przyszedłeś tak późno....

— Aha! późno! — mruknął kancelista.

Dziewczynę ta obojętność brata na jej losy widocznie w serce kłuła. Stała o kilka kroków przed nim, ze splecionemi na sukni rękami, oczy jej smutnie świeciły pośród bardzo mizernej twarzy.

— Myślałam, że zechcesz pomówić ze mną w ostatnim dniu... przed rozstaniem....

— Jaki ostatni dzień? jakie rozstanie? — mruknął znów brat.

— Czyżbyś już zapomniał, że jutro zaprowadzą mnie do więzienia?

Po twarzy jej przebiegło kilka nerwowych drgnień. Zaraz jednak mówiła dalej:

— Trzy miesiące to czas dość długi... a i potem najpewniej nie wrócę już do ciebie, tylko gdziekolwiek, w jakąkolwiek służbę pójdę.... Trzeba więc pomyśleć o twojem gospodarstwie. Dziś wieczorem spiszę dokładnie twoje odzienie, abyś wiedział, co masz, i okradać się nie dawał. Matkę Ko-

stusia umówić, aby codzień zrana przychodziła mieszkanie ci uprzątnąć i samowar nastawić. W domu już jadać nie będziesz, bo któżby ci teraz gotował? ale pójdę na chwilę do Rożnowskiej i dowiem się, czyby nie chciała za zapłatę obiad ci dawać. Miałbyś u niej jedzenie zdrowsze, niż w restauracyi.... Pamiętaj także, gdy wieczorem siadasz do pisania, lampę uważnie zapalać, bo masz zwyczaj czynić to tak, że pokój napełnia się swędem, co ci bardzo na oczy szkodzi....

Gdy tak mówiła, Mieczysław patrzył na nią z dziwnym wyrazem oczu. W tych przedwcześnie zmordowanych i chorych oczach było tyle wesołości i razem tyle żalu, że trudno byłoby powiedzieć, czy wybuchnie on zaraz śmiechem, czy płaczem. Gdy Joanna mówić przestała, zapytał:

— Czy skończyłaś?

Tak — odrzekła — zresztą przez dzisiejszy wieczór i jutrzejszy ranek może jeszcze coś przypomnę sobie....

Nie spuszczając z niej wzroku, przez kilka sekund wstrząsał głową, tak, jakby dziwił się czemuś lub nad czemś ubolewał. Potem nosowym swym głosem mówić zaczął:

I ty naprawdę myśleć mogłaś, że ja pozwolę na to, abyś szła do więzienia i trzy miesiące przesiedziała ze złodziejami i zgubionemi kobietami, w brudach, w błocie?....

Teraz Joanna zdziwiła się bardzo.

— Jakże może być inaczej? wyrok sądowy... ostateczny....

— Czyś nie słyszała? dwieście rubli kary pie-

niężnej, albo więzienie... dwieście rubli... wyraźnie: dwie-ście! Czy nie słyszałaś?

Uśmiechnęła się, ramionami wzruszyła.

— Owszem, słyszałam. Ale to wszystko jedno. Dla mnie sumę tę dostać jest tem samem, co zdjąć gwiazdę z nieba; ani pomyślałam o tem.

— Aha! nie pomyślałaś — zawołał kancelista i tym razem, zerwawszy się z kanapy, wyprostował się w całej swej cienkości i wysokości, a długie ramiona szeroko rozpostarł, co wszystko nadało mu niejakie podobieństwo do wietrznego młyna. W postawie tej, miotając w powietrzu ramionami, jak młyńskiemi skrzydłami, wołał:

— Zobaczą cię stróże więzienni, tak, jak swoje uszy bez lustra! Plwam ja na pieniądze, tam, gdzie idzie o honor, a może i życie mojej siostry! Bagatela! trzy miesiące w mokrych murach, w brudzie, ze złodziejami i łajdaczkami! Jesteś córką profesora, panną dobrze wychowaną.... Dlatego, żeśmy zbiednieli, to mamy już tarzać się po więzieniach, ze złodziejami i pijakami! Cha, cha, cha! cha, cha, cha!

Nie chodził, ale biegał po pokoju, oddychając prędko, nerwowo śmiejąc się i gestykulując.

Joanna szeroko oczy ze zdziwienia otwierała.

— Ależ na miłość Boską! Mieczku! co ty wygadujesz! Skądżebyś ty wziął tyle pieniędzy? Wszak to niepodobieństwo!

Stanął i dłonią o stół uderzył.

— Otóż wziąłem! Otóż dostałem! Otóż przekonasz się, że nie jestem takim niedołęgą, na ja-

kiego wyglądam, i że ty nie jesteś już tak znów zupełnie sama na świecie!

Poskoczyła i, ręce jego w swoje pochwyciwszy, mocno je ścisnęła. Mnóstwo uczuć wstrząsało jej rysami: niespodziana nadzieja wyzwolenia się od czegoś, przed czem, w tajemnicy swej duszy, śmiertelnie drżała; radość, którą jej sprawiał ten wybuch braterskiej czułości; najbardziej przecież przestrach....

— Skąd wziąłeś te pieniądze, Mieczku! Jakim sposobem dostałeś te pieniądze? drogi mój, co ty zrobiłeś?

Spróbował ręce wydobyć z jej dłoni, ale ona je z całych sił coraz mocniej ściskała.

— Skąd wziąłem? nie ukradłem ich przecież. Wiesz o tem dobrze, że nie ukradłem. Pożyczyłem — i koniec.

Joanna od stóp do głowy zadrżała.

— Pożyczyłeś! — krzyknęła — ależ to dla ciebie ostatnia zguba! Jakże ty będziesz mógł tak wielką sumę zwrócić? Suchym chlebem chyba żyjąc! A któż ci pożyczył? Bogatych ludzi nie znamy. Pierwsza Rożnowska dałaby, gdyby miała, ale nie ma. I nikt z tych biednych ludzi takich wielkich pieniędzy nie ma! Któż ci więc je pożyczył? Kto? kto? kto?

I dopóty ścigała go tem natarczywem pytaniem, dopóty wzrok swój strwożony w jego oczach zatapiała, dopóki z niechęcią i prawie gniewem nie wymówił nazwiska jednego z najbardziej znanych w tem mieście lichwiarzy.

Joanna uderzyła głośno w dłonie, a potem niemi twarz sobie zakryła.

— Boże! — mówiła — Boże! Boże!

Przez kilka minut, prócz tego jednego wyrazu, nic wymówić nie mogła. Biedny jej brat przez nią, dla niej oddawał się w ręce lichwiarza, wstępował w przepaść długów, zgryzot, nędzy.... Odjęła ręce od oczu i, obejmując go ramionami, błagać zaczęła, aby pozwolił jej iść do więzienia. Mówiła mu, że jest zdrową, silną, młodą i może wszystko wytrzymać; że słusznem jest, aby niosła odpowiedzialność za to, co czyniła sama; że ten dług, który zaciągnął, stokroć więcej sprawia jej bólu i trwogi, niż te trzy miesiące... tam!... A gdy on przecząco wciąż głową wstrząsał i z wielkiem wzruszeniem, lecz stanowczo powtarzał: »Nie, Joasiu, nie! nie! ja na to przystać nie mogę!« — osunęła się na klęczki i, rękoma kolana jego objąwszy, błagała go gradem słów, które przechodziły w namiętne krzyki.

— Mieczku! najdroższy! pozwól, pozwól, pozwól mi tam pójść, a pieniądze te odnieś temu, od kogo je wziąłeś.... Zaraz, zaraz, zaraz je odnieś! Pozwól, braciszku złoty, pozwól mi tam pójść!

Płakała gradem łez. Wielki warkocz jasnych włosów odwinął się z jej głowy i, rozpleciony, stargany, strugą bladego złota osypywał grube obuwie kancelisty. Ale on, schyliwszy się prędko i, podnosząc ją z klęczek, długiemi swemi, twardemi ramionami mocno do swej piersi przycisnął.

— To już, moja droga, być nie może. Pieniędzy tych oddać nie mogę. Są już one u tego urzędnika, który tu przyjść miał jutro rano, aby cię do

więzienia zaprowadzić... a teraz nie ma po kogo przychodzić! Cha, cha, cha, cha!

Śmiał się trochę gapiowato, a trochę nerwowo, ze szczególnem zmieszaniem tryumfu i goryczy. Ona cicho, głęboko na jego piersi płakała. Stało się. Dlatego przez kilka godzin do domu nie wracał, że starał się o pieniądze i odnosił je temu, komu należało. Wdzięczność bez granic, radość wyzwolenia, żal nad bratem i trwoga o jego przyszłość przejmowały do głębi dziewczynę, starganą strasznemi wrażeniami tego dnia. Nie mogła mówić, tylko z całej siły przyciskała się do piersi tego dziwnego chłopca, który miał pozór tak zgnębiony i zamarły, wydawał się zwykle tak obojętnym, a teraz....

Przycisnęła usta do jego ręki i cicho rzekła:

— Niechże więc będzie tak, jak ty chciałeś.

Zmęczony Mieczysław położył się na kanapie, za stołem, okrytym kancelaryjnymi papierami. Joanna wróciła do kuchni i zakrzątnęła się około nastawiania samowaru. Napełniła samowar wodą i z dzbankiem w ręku stała chwilę nieruchoma. Potem nabrała z piecyka węgli, które także do samowaru wrzuciwszy, znów zwiesiła ręce na suknię i stanęła prosta, sztywna, szklanym wzrokiem patrząc na stojącą u ściany szafkę. Sprzęt ten przypomniał jej snać o czemś, bo postąpiła ku niemu i zaczęła z niego wyjmować szklanki i łyżeczki. Ale te dwie ostatnie wypadły jej z ręki na podłogę, ona zaś, zamiast je podnieść, pochwyciła nóż i bułkę chleba. Ruchy jej były prędkie i nierówne, co chwila powstrzymywane nieodpartem zamyśle-

niem. Nakoniec nóż i chleb na stół rzuciła i, rękami twarz zakrywając, a czoło przyciskając do drzwiczek szafki, wybuchnęła gwałtownie tłumionem płaczem. Co ona teraz z sobą pocznie? Jaka teraz będzie jego przyszłość? O! straszna pustka jej życia, a straszniejsze jeszcze jego troski, zgryzoty, ruina! Stłumiła łkania i płakać przestała. Lękała się, aby jej płacz w przyległym pokoju nie był usłyszanym, i przestała płakać. Ale nic robić nie mogła; formalnie nie mogła. Trzeba jej było myśleć, myśleć, myśleć i myślami temi zjadać własne serce. Usiadła na ławce przy oknie i myślała. Osłupiały wzrok jej błądził za szybami, nie widząc nic, prócz kilku czarnych brzydkich dachów i kawałka nieba, zasnutego wydobywającym się z kominów tłustym dymem. Nie było w tym widoku żadnej rozrywki i żadnej pociechy; więc też twarz Joanny stawała się coraz bardziej posępną. Łzy jej oschły, ale bladą zazwyczaj cerę zapłynął odcień przykrej żółtości, a po spłowiałych ustach, po raz pierwszy w jej życiu, wić się zaczął gniewny, cierpki uśmiech.

Wtem drzwi od kuchenki skrzypnęły, i ukazały się dwie dziecinne postacie. Był to duży Kostuś w swem ubraniu z grubego płótna, bosy, ciężki, przygarbiony, i za rękę prowadzący małą, pucatą Mańkę, prędko drepczącą także bosemi nóżkami, wydobywającemi się prawie po kolana z pod spłowiałej sukienczyny. Nie upłynęło kilka sekund, a chłopak, lękliwie i z zasępioną jakąś czułością z pod brwi spoglądając, przed Joanną ukląkł, dziewczynka zaś, trzepocząc małemi nogami i rę-

kami, z cichym chychotem na kolana jej wskoczyła. U nóg Joanny leżał pęk czeremchy, która teraz właśnie rozkwitała na świecie, a której sporą garść syn ślusarza narwał zapewne w czyimś ogrodzie i, milcząc, tu na podłodze położył. Silny zapach tego śnieżnego, wiosennego kwiatu napełnił kuchenkę. Kostuś zaś, wciąż tem samem spojrzeniem przywiązanego i lękliwego zwierzątka z pod brwi na nią patrząc, wyjął z zanadrza spory zeszyt i, rozwarłszy go, powoli zaczął czytać:

— Pró-żnia-ctwo jest oj-cem wszy-stkich grze-chów. Kto ra-no wsta-je, temu Pan Bóg da-je

A mała Mańka, także z zą sukienki wyjęła stary elementarzyk, zbrudzony, zgnieciony, i, roztwierając go na tej karcie, gdzie się znajdował alfabet, zaczęła:

— A... b... c....

Joanna z cicha śmiać się zaczęła i całowała zmarszczone czoło chłopca i rumiany policzek dziewczynki. Oni ucieszyli się tem bardzo. Stąd powstał mały gwar. Z sąsiedniego pokoju nosowy, zaspany głos zapytał:

— Kto tam taki, Joasiu? Z kim rozmawiasz?

Joanna spłonęła ciemnym rumieńcem i, twarz ku oknu odwracając, odpowiedziała:

— Dzieci....

— Dzieci! — zawołał Mieczysław i natychmiast stanął w progu. Na policzkach jego znów wybiły się czerwone plamy, i oczy mu pałały, ale tym razem gniewem. Właściwie był to gniew, pochodzący z przestrachu, który wyraźnie malował

się na twarzy, w postawie i wszystkich ruchach kancelisty.

— Znów dzieci! — powtórzył głosem podniesionym — czy zupełnie już mam zginąć przez te przebrzydłe bębny? Czy nie dość już było biedy? Jeszcze może miejsce w biurze i ostatni kawałek chleba mam stracić?

Gestykulował popędliwie. Przestrach niespodziewaną siłę nadawał jego głosowi. Przeraźliwie prawie krzyknął:

— Precz mi stąd, malcy! Zeby tu od dnia dzisiejszego noga wasza nie postała; bo, jak was jeszcze kiedy zobaczę, na gorzkie jabłko stłukę. Precz! precz!

Chłopiec i dziewczynka w mgnieniu oka zniknęli....

Joanna zapaliła lampkę, urządziła herbatę i razem z pokrajaną na talerzu bułką zaniosła ją bratu, który przy zapalonej też lampie pilnie już pisał. Codziennie spędzał nad takiem pisaniem długie godziny i w biurze, i w domu. Postawiwszy szklankę i talerz na stole, pochyliła się i pocałowała schyloną nad papierami głowę brata. O! najlżejszej do niego nie czuła urazy. Miał prawo tak postąpić. Tylko czuła, myślała, że znów koniecznie coś z sobą począć wypada, jak najrychlej! jak najrychlej!

Tymczasem usiadła w kuchence i zaczęła wyszywać na nowej chustce cyfrę Mieczysława.

Czeremcha, przez dużego Kostusia przyniesiona, napełniała kuchenkę odurzającym zapachem; samowar, stojący u pieca, szumiał i parą buchał;

z dołu, z pod podłogi dochodziły głuche szmery, nad którymi od chwili do chwili wzbijał się stuk przewróconego sprzętu, albo kłótliwy, czy hulaszczy okrzyk. Szynk tam rozpoczynał swoje nocne, podziemne życie.

Ale co tam takiego zaszeleściło za wysoką poręczą łóżka — i ze zmroku, tuż przy ziemi, wysuwać się zaczęło, z nieokreślonemi formami?... zwierzątko? dziecko? Jakieś dwie rączki opierały się o podłogę... jakieś jasne włosy odbiły się bladem złotem na tle brudnej ściany, jakaś para oczu zaświeciła przeczystym błękitem.... Było to dziecko, które przez kilka sekund, po cichu, pełznąc na czworakach, nagle, z wybuchem śmiechu, wskoczyło na kolana osłupiałej w swym smutku dziewczyny.

Duży Kostuś uciekł, a mała Mańka schowała się tylko za łóżko i czekała, póki *pan* nie przestanie gniewać się i krzyczeć. Ona tu dziś nocować będzie, jak wiele razy nocowała; a teraz chce trochę z elementarza poczytać, pokazać, co już umie.... Wszystko, od *a* aż do *p*... od *p* nie umie, ale *wczoraj* nauczy się....

Chciała zapewne powiedzieć *jutro*, a powiedziała *wczoraj*, ale to nic! Joanna znów całowała ją i zapytała, czy rodzice jej wiedzą o tem, że tu nocować zamierza?

Z przyległego pokoju zabrzmiało pytanie:

— Kto tam znów? Z kim rozmawiasz, Joasiu?

Z cicha i z wielkiem zmieszaniem Joanna odrzekła:

— To Mańka.... Czy mam powiedzieć jej, aby poszła precz?

W przyległym pokoju przez długą minutę panowało milczenie, aż nosowy głos męski wymówił:

— Daj jej trochę herbaty.

W dole, pod podłogą, rozległo się znów głośne stuknięcie i zawrzał bezładny hałas. Czy tam pijak jaki upadł i głową uderzył się o róg ławy? Może człowiek na człowieka podniósł pięść tak silną, że go obalił na ziemię, okrytą śmieciem i zalaną trunkiem? Może to takim stukiem i krzykiem zawrzała tam bezrozumna, bezecna zabawa?

Nad zuchwałym hałasem szynku, w kuchence, oświetlonej małą lampą i napełnionej zapachem czeremchy, blada dziewczyna, z twarzą zmęczoną i zapłakanemi oczami, trzymała na kolanach bose, pucate, śmiejące się dziecko. Z za spłowiałej sukienki czerwona rączka dziecinna wyjęła znów mały, zbrudzony, zgnieciony elementarzyk, a srebrny głosik zadzwonił długim, figlarnym śmiechem.

Z przyległego pokoju ozwało się przeciągłe syknięcie:

— C-i-i-i-cho!

— C-i-i-i-cho! — schylona nad dzieckiem, powtórzyła Joanna.

Maleństwo stłumiło srebrną dźwięczność swego głosu i krótkim paluszkiem o każdą z liter uderzając, cicho, szeptem prawie, czytało:

— A... b... c....

96. **Asnyk Adam.** Wybór poezyi.
97. **Ujejski K.** Wybór poezyi.
98. **Pol Wincenty.** Pieśń o ziemi naszej.
99. **Wasilewski Edm.** Wybór poezyi.
100. **Zaleski J. B.** Wybór poezyi.
101. **Chrzanowski Ign.** Za co powinniśmy kochać Pana Tadeusza Wyd. 2-gie.
102. **Krasicki Ign.** Bajki i przypowieści. Wybór.
103. **Tetmajer. K.** Wybór poezyi.
104. **Kasprowicz Jan.** Wybór poezyi.
105. **Niemcewicz J. U.** Wybór poezyi.
106. **Morawski-Dzierżykraj Fr.** Bajki. Wybór.
107. **Romanowski M.** Wybór poezyi.
108. **Brodziński K.** Wybór poezyi.
109. **Pol W.** Wybór poezyi.
110. **Żmichowska N.** Wybór poezyi.
111. **Or-Ot.** Wybór poezyi.
112. **Rodoć M.** Satyry. Wybór.
113. **Morawski Fr.** Wizyta w sąsiedztwo. Listy poetyckie.
114. **Zaleski B.** Pieśni gęślarskie serbskie. — Car Łazarz, czyli bój Kossowski.
115. **Zieliński Gustaw.** Kirgiz.
116. **Pol Wincenty.** Przygody młodości Imci Pana Benedykta Winnickiego I.
117. **Orzeszkowa Eliza.** Bracia.
118. — Światło w ruinach.
119. **Kubala L. dr.** Mieszczanin polski z XVII w.
120. — Oblężenie Lwowa w r. 1648.
121. — Bitwa pod Beresteczkiem.
122. — Oblężenie Zbaraża i pokój pod Zborowem.
123. **Szajnocha Karol.** Wnuka króla Jana.
124. — Barbara Radziwiłłówna.
125. — Zdobycze pługa polskiego. — Brody Krzyżackie.
126. — Zwycięstwo pod Lwowem w r. 1675. Trynitarze.
127. **Mickiewicz Adam.** Ballady.
128. — Bajki i powiastki.
129. — Liryki.
130. **Słowacki Jul.** Ojciec zadżumionych. — W Szwajcaryi.
131. — Jan Bielecki. — Arab. — Mnich.
132. — Mindowe.
133. — Złota czaszka.
134. — Marya Stuart.
135. **Orzeszkowa E.** Daleko. — Karyery.
136. — Śmierć domu.
137. — Dobra pani.
138. — Panna Róża.
139. **Rodziewicz M.** Rupiecie.
140. — Kamienie. — Ciotka. — Wpisany do heroldyi.
141. **Konopnicka M.** Z Liryk i obrazków.
142. **Niemcewicz J. U.** Śpiewy historyczne.

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH.

143. **Mickiewicz A.** Sonety Krymskie. — Farys.
144. **Krasiński Z.** Liryki. (Wybór).
145. **Brodziński K.** Wiesław.
146. **Kondratowicz L.** Szkolne czasy.
147. **Słowacki J.** Liryki. (Wybór).
148. **Malczewski A.** Marya.
149. **Fredro A.** Pan Geldhab.
150. — Zemsta za mur graniczny.
151. — Śluby panieńskie.
152. **Karpiński Fr.** Wybór poezyi. **Kniaźnin D.** Wybór poezyi.
153. **Korzeniowski J.** Mnich. Tragedya.
154. **Krasicki I.** Satyry i listy.
155. **Naruszewicz A.** Satyry.
156. **Słowacki J.** Książę Niezłomny.
157. **Schiller F.** Wilhelm Tell.
158. — Dziewica orleańska.
159. **Byron.** Giaur.
160. **Schiller F.** Marya Stuart.
161. **Byron.** Manfred.
162. — Więzień Czyllonu.
163. **Szymański A.** Stolarz Kowalski.
164. **Słowacki J.** Anhelli.
165. **Krasiński Z.** Przedświt.
166. **Mickiewicz A.** Konrad Wallenrod.
167. — Grażyna.
168. **Szekspir W.** Sen nocy letniej.
169. **Świętochowski A.** Hymn niemych. — Woły.
170. **Dynowska M.** Obrazy z dziejów piśmiennictwa polskieg[o]
171. **Szekspir W.** Hamlet.
172. — Makbet.
173. — Romeo i Julia.
174. — Król Lir.
175. — Otello.
176. **Mościcki H.** Wernyhora.
177. **Czartoryski A. K.** Katechizm rycerski.
178. **Ustawa rządowa** z d. 3 maja 1791 r.
179. **Katechizm** narodowy z 1791 r.
180. **Reymont St.** Z ziemi chełmskiej.
181. **Prus B.** Omyłka.
182. **Romanowski M.** Liryki.
183. **Prus B.** Grzechy dzieciństwa.
184. **Szujski J.** Cecora i Chocim.
185. — Rejtan.
188. **Chrzanowski Ign.** Liryka patryotyczna **Asnyka.**
189. **Asnyk A.** Poezje patryotyczne.
190. **Szekspir W.** Juliusz Cezar.
191. **Hoffmanowa Kl.** Obiad czwartkowy.
193. **Oppman A. (Or-Ot).** Pieśni o księciu Józefie.
194. **Szujski J.** Bartosz Głowacki.
195. **Gomulicki W.** Wybór poezyi.